

„Ukrainie sława”, ekspertom biada: wyzwania i dylematy analizy ukraińskiej

Tadeusz Iwański, Sławomir Matuszak

Warszawa, maj 2015, restauracja Montenegro przy ul. Natolińskiej

Grupa młodych ukraińskich urzędników ściągniętych przez polskie NGO na wizytę studyjną w samorządach. Celem jest nauka – po rewolucji godności idzie nowe, Ukraina się modernizuje, po wyborach lokalnych wdraża przełomową reformę decentralizacji, a przykład niosą polskie rozwiązania. Organizatorzy kontaktują się z OSW – wszak znamy się dobrze, środowisko współpracujące z Ukrainą, czy to w pierwszym sektorze, czy w trzecim, czy w mediach, jest silnie powiązane: „Może chcecie wpaść na lunch i pogadać z gośćmi?”. Gawędę z Dimą (tu i dalej niektóre imiona zmieniono) – jeszcze przed trzydziestką, zaangażowany i energiczny, z zapałem opowiada o nowych rozwiązaniach i pojawiających się wyzwaniach, szybko łapiemy kontakt.

Zaporoże, lipiec 2015, budynek Państwowej Administracji Obwodowej, godz. 13.00

Umówiłem się z tym samym Dimą, który w międzyczasie został zastępcą gubernatora obwodu zaporoskiego, czyli szefa państwowej administracji obwodowej – głównego ośrodka władzy wykonawczej w regionie. Jestem w podróży studyjnej z kolegą z Ośrodka, drążymy temat decentralizacji i poznajemy kraj od podszewki poprzez rozmowy w miastach (poza Kijowem) i na prowincji. Dima przyjmuje nas w wielkim gabinecie, ale decentralizacyjne dyskusje ewidentnie go nudzą. Proponuje lunch ze swoim znajomym, też wicegubernatorem, ale odpowiedzialnym za współpracę międzynarodową, kawalek za miastem.

Analityk w delegacji je nie wtedy, gdy jest głodny, ale kiedy akurat nie ma spotkań. Przystajemy więc na tę ofertę.

Z podziemnego garażu wyjeżdżamy nowym autem marki Mitsubishi Pajero i mkniemy sześciopasmowym prospektem Lenina na południe, do... yacht klubu. Biel parawanów i obić mebli ogrodowych silnie kontrastuje z błękitem wody i nieba, w basenach kąpią się roznegliżowane damy i otyli, wytatuowani i obwieszeni złotem dżentelmeni. Kolega Dimy, Ołeh – w białej lnianej koszuli z krokodylem i czarnych okularach Ray-Ban – podejmuje nas przy zacienionym stoliku piramidą owoców morza i zmrożoną wódką. Nie odzywa się dużo, w zasadzie nie mówi nic poza toastem „za Polskę i Ukrainę”, spełnianym ortodoksyjnie co kwadrans. O decentralizacji wie niewiele, o możliwościach rozwoju biznesu prawi komunały, a o własnej karierze i lokalnej polityce kłamie w żywe oczy. Rozmowa się nam nie klei, Dima w międzyczasie wyszedł po angielsku, więc Ołeh proponuje, byśmy przepłynęli się łódką. Marudzimy, że za gorąco na wiosła, że nie mamy odpowiednich strojów, na co on, że to nic, że nie trzeba.

I faktycznie – łódka okazuje się dwusilnikowym dwudziestometrowym katamaranem. Kierując maszynę starorzeczem do Dniepru, Ołeh pokazuje nam palcem budujące się apartamentowce i bungalowy na obu brzegach, a za każdym wskazaniem następuje sakramentalne „To moje, to moje, to też moje”. Przejażdżka jest urocza. Prujemy fale, okrążając Chortycę – wyspę z legendarną pierwszą siczą Bajdy-Wiśniowieckiego. Podpływamy także pod DniproHES – monumentalną elektrownię wodną. Nasz przewodnik sący oszronione francuskie piwo Kronenbourg 1664 Blanc. Widać, że w życiu mu się powiodło i że lubi się nim cieszyć.

Zaporoże, ten sam dzień, budynek Teleradiokompanii Ukrainy, godz. 17.00

Wira to dziennikarka zatrudniona w regionalnym ośrodku publicznego nadawcy. Wkrótce podmiot ten zostanie poddany dogłębnym zmianom, dzięki czemu przekształci się w nowoczesną i – co najważniejsze – uczciwą telewizję Suspilne. Na razie jednak – bieda aż piszczy. Wspinamy się klatką schodową. Ściany oblażą starą seledynową farbą, w kątach trutka, mimo lipcowego upału zanoszą wilgoć. Siadamy w małym pokoju na brzydkich i niewygodnych krzesłach. W plastikowych kubeczkach dostajemy kawę-zalewajkę z potrójną porcją cukru. I zamieniamy się w słuch.

Opowieść jest fascynująca. Właściwie nie musimy zadawać pytań. Wirze ulewa się frustracja i złość na miejscowych oligarchów i złodziei, na brak pieniędzy na rzetelne dziennikarstwo oraz marne zarobki, na korupcję i układy. Opisuje wzloty i upadki decentralizacji, kreśli zależności między radnymi różnych szczebli a władzą wykonawczą, przybliża biznesy, kryszę (opiekę)

i porachunki polityczne (w marcu byłego gubernatora obwodu zaporoskiego znaleziono z przestrzeloną szyją). Na Dimie i Ołehu, którzy objęli stanowiska na fali odnowy po rewolucji godności i o których pytamy, nie zostawia suchej nitki.

* * *

Jaką lekcję z tego emocjonującego dnia wynieśliśmy my, badacze Ukrainy? Niezastąpioną: kolejny raz przekonaliśmy się, że to kraj olbrzymich dysproporcji, w tym w zakresie dostępu do bogactw materialnych; że każdy obwód ma swoją specyfikę i w każdym działa kasta „menedżerów”, łączących posady w administracji z pozycją w biznesie w celu ochrony lub powiększenia tego ostatniego; że rewolucje mają też brzydką stronę, a system skutecznie korumpuje młodych (jak Dima), ci zaś skrywają osobiste dążenia za pięknymi hasłami o dobru wspólnym; że ukraińska korupcja to nie tylko wielcy oligarchowie, uwłaszczeni na majątku państwa, lecz także drobni, lokalni „biznesmeni”, o których w ogólnokrajowych mediach trudno znaleźć choćby wzmiankę. A również, że to piękne, zróżnicowane państwo bogate w relacje i opowieści.

Dwie oddolne rewolucje społeczne (w 2004 i 2013/2014 r.), które diametralnie zmieniły trajektorię rozwoju, oraz jedna „elektoralna” (w 2019 r.), która gruntownie przebudowała scenę polityczną, w międzyczasie zbrojna agresja, a potem pełnoskalowa inwazja Rosji pokazują, jak dynamicznym obszarem badań jest Ukraina. Przemiany te wymagają pilnej i podzielnej uwagi. By dokładnie je śledzić, analizować, a następnie projektować ich skutki dla Polski i Europy, potrzeba chłodnej głowy, niejednej pary rąk i mocnego stąpania po ziemi.

Nie przedstawimy w tym tekście eksperta idealnego, ale zwrócimy uwagę na istotne niuanse, wyzwania badawcze oraz pułapki, których staramy się uniknąć. Pomówimy w nim o instrumentach analitycznych pozwalających jak najlepiej tę ukraińską swoistość uchwycić, przetrawić i przekazać. Będzie też o tym, czym różni się Ukraina od innych państw poradzieckich, o podmiotowości tamtejszego społeczeństwa i polifonii mediów, o otwartych rejestrach i niestabilności wewnętrznej, o kulturze politycznej i trudnym sąsiedztwie, wreszcie o tym, jak rosyjska napaść wpłynęła na analizę i jak odnaleźć się w tym wszystkim polskiemu badaczowi.

Włóczęga jako metoda analityczna

Obrazki z Zaporozża to tylko krótki wyimek z dłuższego wyjazdu służbowego. Zaczął się on w Charkowie, skąd z wolontariuszem Żenią i transportem prowiantu dla żołnierzy udaliśmy się na powstałą na podstawie tzw. drugich porozumień mińskich linię rozgraniczenia między wojskami ukraińskimi i rosyjskimi. Choć miały one odciągnąć ciężkie uzbrojenie, tworząc strefę buforową, realnie

funkcjonowała ona wyłącznie za dnia – nocą artyleria obu stron ponownie zbliżała się do siebie, czasami dochodziło do wymiany ognia.

Wracając, Żenia zabrał dwóch pasażerów na gapę – relegowanych z jednostki za pijaństwo żołnierzy batalionu Ajdar. Wciąż w stanie wskazującym wgramolili się w kamizelkach kuloodpornych na tylną kanapę furgonetki i patrzyli wilkiem. Atmosfera rozluźniła się, dopiero gdy pod rozgwieżdżonym niebem paliliśmy papierosy po drodze do Artemiwska (od 2016 r. Bachmut). Następnie przez Siewierodonieck (załapaliśmy się na wiec ówczesnego prezydenta Petra Poroszenki), Berdiańsk (spotkaliśmy rodaków chcących zawiązywać polską partię na Ukrainie) i Melitopol (przeprowadziliśmy ekscytującą rozmowę z wygnanymi Tatarami Krymskimi planującymi powrót na półwysep i akcje sabotażowe) dojechalismy wynajętym samochodem do Dniepru (wtedy jeszcze Dniepropetrowska) i Zaporozża, skąd samoloty LOT kursowały bezpośrednio do Warszawy.

Były i inne wyjazdy polowe analityków OSW – w ważnych momentach i w miejsca ważne rok wcześniej: na zachód Ukrainy zimą 2013/2014 r., gdy przeciwnicy reżimu Wiktora Janukowycza zajmowali lokalne budynki administracji rządowej, w marcu 2014 r. na Krym, gdy opanowały go „zielone ludziki”, a Sewastopol groźnie świętował „powrót do macierzy”, w kwietniu 2014 r. do Doniecka i Ługańska, gdzie ludzie m.in. Igora Girkina vel Striełkowa organizowali Noworosję. Na ogół z bezpiecznej odległości, w służbie krajowi, by dotknąć wydarzeń i uczynić materiał dla decydenta maksymalnie wszechstronnym i wyważonym. Były także liczne wyjazdy w mniej zapalne obszary i w czasie pokoju – mamy ambicję zdobyć „koronę Ukrainy”, czyli odwiedzić wszystkie 24 obwody i Krym.

„Włóczęga analityczna” to samorodna metoda Ośrodka. Nawet setki stron przeczytanych tekstów nie zastąpią dyskusji, atmosfery ulicy, reakcji tłumów, gestów i spojrzeń naszych rozmówców i zwykłych ludzi, smaków i zapachów restauracji czy widoków krajobrazów i architektury. Zapewniają one wiedzę uzupełniającą, lecz kluczową dla lepszego zrozumienia miejscowych realiów. Celem delegacji nie jest turystyka – chodzi o wyjście poza bańkę mediów i sieci społecznościowych oraz o niezastąpiony *reality check* po miesiącach obserwowania wydarzeń w państwie mandatowym zza komputera przy Koszykowej w centrum Warszawy. Poniżej o tym, dlaczego bez regularnych wizyt na Ukrainie analiza byłaby dalece niepełna.

Delegacje jak szkło powiększające

Podróże do „obszaru mandatowego”, którym zajmuje się ekspert, uczą kraju, mentalności autochtonów, odmienności regionalnych, przyziemnych problemów. Uwypuklają niuanse i wyostrzają różnice. Tych na Ukrainie jest masa – wszak to kraj prawie dwa razy większy od Polski, z licznymi mniejszościami narodowymi.

Związek Sowiecki zszedł tamtejsze ziemie ze sobą i wykreował poczucie wspólnoty losów mieszkańców. Ceną za to – prócz rusyfikacji i ideologizacji – były próby kulturowego zglajchszaltowania ukraińskich regionów. Na szczęście nie do końca się one powiodły, co po uzyskaniu niepodległości ułatwiło odrodzenie lokalnych tradycji. Wraz ze zmianami pokoleniowymi nikną też wspólne kody sowieckiej kultury popularnej i języka rosyjskiego. Pewną mentalną wspólnotę widać jeszcze wśród seniorów, lecz już rzadziej reprodukuje się ona wśród młodzieży, czerpiącej z alternatywnych źródeł i wzorców.

Tym samym prosty, stereotypowy podział państwa na wschód i zachód – ileż powstało książek i artykułów (zwykle mało wartościowych) z takim tytułem lub podtytułem – to pułapka. Weźmy tzw. zachodnią Ukrainę – samo to pojęcie jest sztuczne, często (i zgodnie z sowiecką intencją) rozumie się pod nim tereny wchodzące w skład II RP zajęte przez ZSRS we wrześniu 1939 r., a następnie przyłączone do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Tymczasem Galicja/Hałyczyna (obwody: lwowski, iwanofrankiowski i tarnopolski) mocno odróżnia się od Wołynia (obwody wołyński i rówieński) pod względem religijnym, dialektów i pamięci historycznej. Jeszcze inaczej jest na Zakarpaciu czy Bukowinie, które wprawdzie leżą na zachodzie kraju, ale w rzeczywistości różnią się i między sobą, i od innych regionów.

Z kolei tzw. miasta – *milionniki* (czyli ośrodki zamieszkałe przez milion i więcej ludzi) wschodniej i południowej Ukrainy – Charków, Dniepr i Odessa przed wybuchem pełnoskalowej wojny były (i do dziś są) w przygniatającej większości rosyjskojęzyczne, ale każde z nich miało odrębny charakter, a ich mieszkańcy z dumą podkreślali wyjątkowość swojej małej ojczyzny. Lokalne tradycje zagrały na korzyść Kijowa, gdyż stanowiły jedną z przyczyn fiaska prób wywołania separatystycznych rewolt w ramach tzw. rosyjskiej wiosny w 2014 r. Żyjący w Charkowie – byłej stolicy sowieckiej Ukrainy – z pogardą odnosili się do wysłanych przez rosyjskie służby w celu sprowokowania zamieszek „turystów demonstrantów” z Biełgorodu – sąsiedniego miasta obwodowego w FR, czterokrotnie mniejszego, zawsze traktowanego jako biedna prowincja. Donieck zaś okazał się bardziej zrusyfikowany i zinfiltrowany, wskutek czego tzw. Doniecka Republika Ludowa w 2014 r. obroniła się.

Sytuacja nie była jednak statyczna, a w pracy analitycznej za kluczową uchodzi umiejętność uchwycenia zmian. Rosyjska okupacja wschodu kraju wywołała dużą falę uchodźców do innych miast i regionów. Zjawisko to doprowadziło do trwalszego spotkania mieszkańców Donbasu i innych części kraju. Z punktu widzenia ukraińskiej tożsamości zetknięcie to miało ogromne znaczenie, lecz nie było łatwe – górniczy, uprzemysłowiony Donbas nie bez powodu miał złą prasę, kojarzył się z bandytami, Rosją, oligarchami i bezprawiem. W drugą stronę stereotypy też miały się dobrze – z perspektywy Doniecka krajem rządzili

nacjonaliści, którzy chcieli ukrainizować i derusyfikować, a władzę zdobyli w wyniku finansowanego z Zachodu przewrotu.

Uchodźcy ze wschodu budzili z jednej strony powszechne współczucie, a z drugiej obawy. Bywało, że samochody z rejestracjami zaczynającymi się od AH (obwód doniecki) z racji specyficznego sposobu jazdy ich kierowców rodziły strach lub agresję. Formalnie na całym terytorium Ukrainy obowiązują takie same przepisy drogowe, lecz w rzeczywistości pieszy musi inaczej zachowywać się we Lwowie, inaczej w Kijowie, a jeszcze inaczej w Doniecku. W ostatnim z tych miast de facto nie miał on żadnych praw. Gwałtowne zderzenie kultur trwało jakieś dwa lata, po czym uchodźcy przystosowali się do miejscowych obyczajów.

Podróże do „kraju mandatowego” sprawiają, że objawia się on analitykowi w całej okazałości. Często dopiero one odsłaniają sedno problemu. Za przykład niech posłużą wizyty na Zakarpaciu, zamieszkanym przez niepełną stutysięczną mniejszość węgierską. Od lat jej prawa stanowią kość niezgody pomiędzy Kijowem i Budapesztem. Viktor Orbán na wewnętrzny użytek polityczny pomstuje na rzekomą „demadziaryzację” regionu, traktując ją jako pretekst do blokowania postępów Ukrainy na drodze do UE oraz instrument targów z Brukselą. Kijów natomiast systematycznie wprowadzał regulacje zwiększające wymagania z zakresu znajomości ukraińskiego i nauczania w języku państwowym, po czym nareszcie zderusyfikował przestrzeń publiczną, media i oświatę. Uderzyło to w prawa Węgrów (i innych mniejszości), lecz te były na tyle szerokie, że generowały sytuacje patologiczne – część miejscowej diaspory nie potrafiła mówić po ukraińsku, a niekiedy nawet go zrozumieć.

Do dziś Węgrzy żyjący w takich miastach jak Użhorod czy Berehowo mogą funkcjonować we własnym, węgierskojęzycznym ekosystemie szkół, fryzjerów, rzeźników i piekarzy, co nie sprzyja nauce mowy państwowej. Co więcej, tamtejsi Ukraińcy są do tego stanu rzeczy przyzwyczajeni i współegzystują z nimi bez większych tarć, mimo że finansowane i sterowane z Budapesztu organizacje mniejszościowe i partie polityczne pełnią nierzadko funkcję pudła rezonansowego Orbána. Bez wyjazdów na Zakarpacie – a także do innych mieszanych etnicznie regionów, jak Bukowina, Besarabia czy Budziak – trudniej pojąć prawdziwą naturę napięć dyplomatycznych na szczyblu stolic.

Kijowska „bańka” analityczna...

Kraj tak zróżnicowany wewnętrznie jak Ukraina trzeba zjeździć wzdłuż i wszerz. Warto mieć przy tym oczy otwarte na krajobraz, mówiący wiele o gospodarce regionów, ich bogactwie i zasobach naturalnych, jak również jak najwięcej rozmawiać: ze zwykłymi ludźmi w marszrutkach (rejsowych busikach), kierowcami

w taksówkach i sprzedawcami na bazarach, ale też z ekspertami, urzędnikami, dziennikarzami i przedstawicielami sektora pozarządowego.

Jeżdżąc na Ukrainę po wiedzę, nie sposób ominąć stolicy. To odrębny mikro-kosmos, gdzie czas biegnie inaczej i gdzie inaczej niż wszędzie indziej ustawiono priorytety. Nierzadko na pytanie o termin spotkania zamiast konkretnej godziny możemy więc dostać odpowiedź o treści „przed obiadem”. Lub „po obiedzie”. A że preferencje co do pory tego posiłku są różne, a co gorsza niektórzy nie jedzą go w ogóle, sprawa się komplikuje. Umawianiu wywiadów nie sprzyja także frywolne traktowanie przez rozmówców kalendarza – nam zależy na ustaleniu spotkań oraz optymalnym poukładaniu ich godzinowo i geograficznie jeszcze przed wyjazdem. Od interlokutorów słyszymy zaś najczęściej: „Tak, tak, chętnie się z tobą zobaczę – zadzwoń, jak dotrzesz”. Trzeba zatem kombinować na miejscu, przypominać – przedstawiać – dogadywać. Kosztuje to trochę energii, ale koniec końców dni wizyty prawie zawsze obfitują w dyskusje. A jeśli coś wypadnie, cóż... muzea, kina i teatry, pracujące (na ogół) w stałych godzinach, pozwalają poszerzyć wiedzę ogólną o kraju, mieście lub regionie. Z kolei bazy i centra handlowe umożliwiają sondowanie gospodarki i nastrojów konsumenckich.

Stylu komunikacji stołecznych ekspertów i dziennikarzy nie da się podrobić. Są oni na ogół wszechwiedzący, skorzy do plotek i nieporównywalnie bardziej bezpośredni od ich kolegów i koleżanek z Brukseli czy Berlina. Spotkania z nimi mają specyficzny klimat – nie uświadczy się tam nadmiaru kurtuazji, za to łatwo o gotowość do dzielenia się ocenami i komentarzami, niekiedy nad wyraz szczerymi i ostrymi.

Kijowska scena think tankowa nieustannie się zmienia i profesjonalizuje. Działa coraz mniej jednoosobowych „instytucji” zarejestrowanych na Facebooku i z adresem na Gmailu. Prym w debacie wiedzie 5-10 prywatnych ośrodków badawczych, natomiast te państwowe – naturalni partnerzy OSW – są zwyczajnie słabe. Kontakty z tymi pierwszymi mają więc wyjątkową wartość, gdyż to one doradzają decydentom, a indywidualne relacje odgrywają na Ukrainie dużą rolę.

Jednocześnie nie można nie zauważyć, że znaczenie spotkań na żywo – na przestrzeni nawet ostatniej dekady – znacznie zmalało. Większość stołecznych ekspertów preferuje aktywność na platformach społecznościowych, gdzie ochoczo przekazuje swą wiedzę. W trakcie rozmów wychycimy zapewne kilka ciekawostek i *insightów*, ale i one zazwyczaj trafiają do publicznego obiegu w ciągu najbliższych dni lub tygodni. Kluczem jest dotarcie do osób poniżej radaru medialnego – albo wysoko wykwalifikowanych specjalistów sektorowych, albo „doradców kluczowych doradców”. Znajomość z nimi otwiera też drzwi urzędników i polityków – kijowska bańka zna się na wskroś – zatem umówienie spotkania z kierownictwem komisji w Radzie Najwyższej czy którejś z instytucji centralnych nie nastrocza kłopotu.

...i jak się w niej odnaleźć

Analitykowi znad Wisły na Ukrainie sprzyjają sukces naszej transformacji oraz liczne polskie posunięcia wspierające tamtejsze społeczeństwo obywatelskie, media, samorządowców i biznes. Dzięki nim działa gęsta sieć kontaktów horyzontalnych, a RP ma świetną markę – szczególnie w mniejszych ośrodkach i na prowincji, gdzie urzędnicy i dziennikarze nie są rozpieszczeni wystawnymi lunchami i nie zadzierają nosa, lecz pamiętają wizyty studyjne w Polsce i staże w naszych redakcjach.

Ale trzeba się też liczyć z trudnościami. Polskiego badacza, zwłaszcza reprezentującego instytucję rządową, utożsamia się z kursem Warszawy – nawet jeśli go nie współkształtuje, a prywatnie się z nim nie zgadza. W kontaktach z ukraińskimi kolegami i koleżankami okoliczności te wymagają od eksperta zarazem asertywności i szczerości w formułowaniu opinii, jako że to od tych przymiotów zależy jego wiarygodność. Sytuację dodatkowo gmatwa zasadniczo kiepskie rozeznanie miejscowych analityków i dziennikarzy w niuansach naszej polityki wewnętrznej.

Choć ten stan rzeczy ulega zmianie, to wciąż dogłębna wiedza i długa pamięć o Ukrainie nad Wisłą jest zdecydowanie powszechniejsza niż na odwrót. Tę asymetrię często rekompensują krzykliwe tytuły i jednostronne sądy wpisujące się w ogólne spojrzenie wschodnich sąsiadów na RP. Cechuje się ono z jednej strony **podziwem** – za wzrost zasobności, rozwój infrastruktury i rosnące znaczenie polityczne w Europie – i **sympatią** – za solidarność w czasach próby (obu rewolucji i obu rosyjskich agresji), wspólne postrzeganie FR oraz bliskość kulturową, a z drugiej **maskowaną zazdrością z powodu** tego właśnie rozwoju i bogactwa, bo przecież (to błędna, lecz powszechna opinia) Polska i Ukraina startowały z tego samego poziomu, ba!, USRS była zasobniejsza, i **resentymentem** – Polacy to przecież dawni „panowie”, którzy uciskali chłopstwo i kozactwo, a nigdy nie zostali z tego do końca rozliczeni.

Emocje te wychodzą na wierzch szczególnie wtedy, gdy dialog schodzi na wspólną przeszłość. Nieprzepracowana historia to oczywiście obciążenie, a nie atut, zaś wspomnienie przez jedną lub drugą stronę Wołynia to najefektywniejszy *discussion killer*. Aby z petenta stać się partnerem, koniecznie trzeba się więc uzbroić w wiedzę z tej dziedziny (daty, liczby, nazwiska) i zdolność merytorycznego argumentowania – wówczas mimo sporu tworzą się więzi oparte na zaufaniu i obopólnych korzyściach.

Ukraińcy nie gęsi...

W rozmowach z interlokutorami znad Dniepru niesamowicie ważną rolę odgrywa znajomość ich języka państwowego. To istotne narzędzie badawcze, którego

znaczenie wzrosło w ostatnich latach. Przychodząc do Ośrodka kilkanaście lat temu, ukraiński znałem bardzo dobrze w mowie i piśmie, a rosyjski przeciętnie i raczej biernie – wszak na warszawskiej ukrainistyce, którą skończyłem, był to język wielowiekowego gnębiela i nikt nie przykładał się za bardzo ani do jego wykładania, ani nauki. W OSW sytuacja wyglądała raczej odwrotnie – poza Tadeuszem A. Olszańskim, wieloletnim filarem ukraińskiej ekspertyzy, analitycy od tego kraju posługiwali się w pierwszej kolejności rosyjskim, a podłapywany okazjonalnie ukraiński mocno kulał w mowie [TI].

Odzwierciedlało to zresztą sytuację na Ukrainie – czasy Janukowycza (2010–2014) były mocno rosyjskojęzyczne zarówno w mediach, jak i w przestrzeni publicznej, zatem znajomość ukraińskiego nie była niezbędna. Późniejsze przemiany pociągnęły jednak za sobą także „ukrainizację” pracowników Ośrodka. Brali oni lekcje ukraińskiego oraz starali się częściej w tym języku czytać i rozmawiać, by podszlifować wymowę i poszerzyć słownictwo. Teraz, po pełnoskalowej agresji FR, dyskutować z Ukraińcami po rosyjsku najzwyczajniej w świecie nie wypada, zaś znajomość ukraińskiego na Koszykowej jest na tyle zaawansowana, że w trakcie wyjazdów lub rozmów z gośćmi z Ukrainy język ten zawsze dominuje. A w obecności badaczy z innych zespołów przechodzimy na angielski, którym sąsiedzi posługują się coraz powszechniej.

Sytuacja językowa nad Dnieprem to temat rzeka i jeden z pryzmatów, przez które warto patrzeć. „Ukraina to nie Rosja” – by zacytować tytuł słynnej książki Leonida Kuczmy z 2004 r. – a Ukraińcy to nie Rosjanie, nawet jeśli również używają rosyjskiego. To zresztą i tak nie ta sama mowa – rosyjski używany przez większość Ukraińców ma swoje odmienności, przede wszystkim inną melodię i wymowę, w tym emblematyczne gardłowe „h” (r), absolutnie czytelne dla wszystkich Rosjan, nawet jeśli na Kubaniu, zasiedlonym przez Ukraińców w XVIII wieku, mówi się podobnie. Piętno w postaci znajomości tego języka pozostawiły wieki kolonizacji i celowego niszczenia kultury (w tym mowy) ukraińskiej przez władze carskie i sowieckie. Spory odsetek Ukraińców nadal jednak korzysta z niego w codziennych sytuacjach (oficjalnych już prawie nie), bo w takim środowisku językowym zostali wychowani.

Dla purystów: ludzie ci mówią głównie surżykiem, czyli mieszkanką ukraińskiego i rosyjskiego w różnych proporcjach, często – lecz nie zawsze – zależnych od regionu i środowiska. Nie ma prostej zasady, że gdy ktoś pochodzi z zachodniej części kraju, np. Wołyńia, to używa więcej słów z ukraińskiego.

Historia zasłyszana na Zakarpaciu od etnicznej Rosjanki będącej ukraińską obywatelką i patriotką: gdy w lutym–marcu 2022 r. przybyły tam pierwsze pociągi z uchodźcami wojennymi z Donbasu i Charkowszczyzny, przyjmujących ich urzędników i wolontariuszy zaskoczyła, a niekiedy wręcz zawstydziła nie tyle ich znajomość języka, ile poprawność. Przyczyny – jak się okazało – należało

szukać w wieloletniej nauce literackiej wersji ukraińskiego w szkole, zaś nie-
używana na co dzień mowa pozostała „nieskalana”.

Błędem analitycznym będzie stawianie znaku równości pomiędzy językiem
a tożsamością, a tym bardziej pomiędzy nim a poglądami politycznymi. Dość
przypomnieć, że pierwsi ochotnicy w wojnie z Rosją w 2014 r. rekrutowali się
z rosyjskojęzycznych terenów wschodniej części kraju. Podobnie dwaj ostat-
ni prezydenci z Rosją walczący – Petro Poroszenko i Wołodymyr Zełenski –
od dziecka posługiwali się tą mową. Państwo i społeczeństwo znajdują się
w dynamicznym okresie przejściowym, w którym krystalizuje się świadomość
narodowa, co polega m.in. na rugowaniu z użycia rosyjskiego (Putin przyłożył
do tego nie jedną, a obie ręce). Za pokolenie–dwa, jeśli Ukraina obroni się przed
agresorem, jej mieszkańcy będą w pełni ukraińskojęzyczni.

Niestabilny pluralizm polityczny

Gdy obserwujemy życie polityczne Ukrainy, w oczy rzuca nam się przede wszyst-
kim brak stabilności. W związku z nim analityk ds. tego kraju ma znacznie dyna-
miczniejszą pracę niż ekspert od sytuacji wewnętrznej na Białorusi czy w Rosji.
Tam warunki są dużo bardziej stałe, a źródła badawcze – ograniczone z powodu
cenzury, propagandy i – od pewnego czasu – niemożności podróżowania.

Nad Dnieprem od 1991 r. kilkakrotnie dochodziło zaś do niemal całkowi-
tej wymiany klasy rządzącej. Newralgiczne postacie aparatu władzy za pre-
zydentury Poroszenki (2014–2019) teraz znajdują się w politycznym niebycie:
były premier Arsenij Jaceniuk, były przewodniczący parlamentu Ołeksandr
Turczynow czy pełniący obie te funkcje Wołodymyr Hrojsman (wymieniać
można długo) nie znaczą obecnie na krajowej scenie nic, a niektórzy umyślni
drugiego szeregu, niegdyś potężni (Ihor Kononenko, Ołeksandr Hranowski),
przebywają za granicą i są poszukiwani przez organy ścigania. W praktyce
ten stan rzeczy oznacza nieustający *research* w dziedzinie nowych ważnych
figur oraz uaktualnianie map powiązań i zależności pomiędzy tymi stary-
mi, które tylko zmieniły miejsce w systemie. Ukraińskie głębokie państwo
istnieje i ma się dobrze. W pierwszoplanowych instytucjach, jak Biuro
(kiedyś Administracja) Prezydenta, rząd i służby specjalne, funkcjonuje
przynajmniej kilka osób publicznych (a ile niepublicznych?) od lat – jeśli
nie od ponad dekady – zajmujących wysokie stanowiska niezależnie od
układu politycznego.

Dynamiczne przetasowania uderzają nie tylko w poprzedników Zełenskiego,
lecz także w jego ekipę. Z początkowej nie ostał się praktycznie nikt poza
wicepremierem Mychajłem Fedorowem i aktualnie prawą ręką prezydenta
Andrijem Jermakiem – wtedy zaledwie skromnym jego doradcą. Pojawiają

się i znikają również całe ugrupowania. Kto dziś pamięta o Froncie Ludowym, współtworzącym koalicję od 2014 r., albo Radykalnej Partii Ołeha Laszki, przez lata integralnej części parlamentarnego folkloru? Istnieją oczywiście „niezatapialne” wyjątki – liderzy tacy jak Poroszenko, była premier Julia Tymoszenko czy prorosyjski Jurij Bojko, którzy wciąż aktywnie uczestniczą w życiu politycznym. Nie kształtują go jednak i to nie do nich należy przyszłość.

Ludzie mają głos i nie wahają się go użyć

Analizowanie ukraińskiej rzeczywistości wymaga nieustannej obróbki dostępnych informacji. Zmiany metod pracy szły w ślad za przekształceniami przestrzeni informacyjnej, a procesy zbierania materiałów i monitorowania sytuacji mają mało wspólnego z tymi sprzed kilkunastu lat.

W pierwszej dekadzie XXI wieku krajobraz informacyjny Ukrainy i – co za tym idzie – podstawowy zestaw narzędzi do jej badania wyglądał dość prosto. Kluczowe miejsce zajmowały w nim tradycyjne media – kilka opiniotwórczych gazet i tygodników wyznaczających ton debaty publicznej. Do najważniejszych wydarzeń należało ukazanie się sobotniego wydania „Dzerkała Tyżnia”, a zwłaszcza tekstów publikowanych przez uznaną dziennikarkę Julię Mostową, która zapewniała odbiorcom wgląd w aktualny układ obozu rządzącego. Głównym źródłem wieści i jednocześnie obiektem zainteresowania analityków pozostawała telewizja, bo to tam – w trakcie wielogodzinnych politycznych talk-show, choćby Sawika Szustera – kształtowały się nastroje i poglądy szerokich mas.

Wraz z rozwojem internetu krajowa scena medialna zaczęła się przekształcać. W połowie drugiej dekady tego stulecia naczelną pozycję zaczęły obejmować serwisy internetowe i platformy społecznościowe. Kasę ekspertów w każdej dziedzinie – od stosunków z USA przez reformę opieki zdrowotnej po konstrukcję wyrzutni rakiet – kursujących między należącymi do różnych oligarchów stacjami telewizyjnymi wymiotła decentralizacja przekazu w postaci gwałtownego rozkwitu social mediów. Nałożył on nowe obowiązki na analityków, bo podmioty te wyrastały na znacznie istotniejsze (i ciekawsze!) źródła wiedzy niż prasa i portale. Symbolicznym momentem tej ewolucji, który pokazał, z jak potężnym narzędziem mobilizacji i komunikacji mamy do czynienia, była rewolucja godności – wszak protesty rozpoczęły się od wpisu znanego dziennikarza Mustafy Najema. Potem coraz większego znaczenia nabierał Telegram – jako nie tylko komunikator, lecz także jedna z najbardziej liczących się platform newsowych.

Rozmaitość źródeł informacji, szczególnie w dobie nowych mediów, stanowi odzwierciedlenie podmiotowości ukraińskiego społeczeństwa. Dwie oddolne rewolucje – tzw. pomarańczowa (2004/2005) i godności (2013/2014) – odwróciły

kierunek rozwoju państwa. Kierunek, w którym popychali je – dodajmy – ówczesni prezydenci, odpowiednio Kuczma i Janukowycz, co dowodziło ich odezwania od realiów i nieumiejętności czytania nastrojów obywateli, będących najczęściej o dwie długości przed rządzącymi.

Owe nastroje najlepiej czuje Zełenski, którego podwójne zwycięstwo w 2019 r., gdy zdobył pełnię władzy, niektórzy socjolodzy określili mianem trzeciej rewolucji, tym razem „elektoralnej”. Jego ekipa bezbłędnie odczytała powszechną niechęć do starej klasy politycznej i zmęczenie – moderowanym przez spin doktorów (zwanych na wschodzie polittechnologami) – prymitywnym podziałem kandydatów na prozachodnich i prorosyjskich, sztucznie wtłaczanym wyborcom przez poprzednie dekady. Przykłady? Czornowił–Krawczuk (1991), Krawczuk–Kuczma (1994), Kuczma–Symonenko (1999), Juszczenko–Janukowycz (2004/2005), Tymoszenko–Janukowycz (2010). Po pierwszej agresji Rosji w 2014 r. operację tę ubrano w więcej odcieni szarości, bo promowanie kogoś otwarcie prorosyjskiego nie miało sensu, ale nawet w ostatniej kampanii Poroszenko–Zełenski z 2019 r. pierwszy z nich prezentował siebie jako prozachodniego patriotę, a oponenta porównywał do Putina.

Umiejętność wycucia nastrojów społecznych przez ludzi Zełenskigo (i jego decyzja o starcie w wyborach) miała i inne źródło: na otoczenie przyszłego przywódcy składały się osoby stosunkowo młode, nowoczesne, zanurzone w social mediach. Dojście do władzy tego obozu przyniosło następną rewolucję – niemal cała oficjalna komunikacja władz przeniosła się do sieci społecznościowych. To z jednej strony przyspieszyło obieg informacji, ale z drugiej utrudniło ich monitorowanie. Tradycyjne media zaczęły powoli rozmywać się w masie LOM-ów (liderów opinii publicznej; to wprawdzie z rosyjskiego – *лидеры общественного мнения* – lecz skrótowca wciąż używa się na Ukrainie) działających głównie w internecie. Z czasem coraz większą popularność zyskiwały ich kanały na YouTube, obecnie często przyciągające większą uwagę niż portale.

Facebook – Ukraińców magazyn opinii

Niebiesko-biała aplikacja jest na ogół aktywna w smartfonach przez całą dobę. Na posty i udostępnienia reaguje się błyskawicznie, a komentarze pod nimi nierzadko idą w setki, są piętrowo wielowątkowe i pączkują w inne wątki, zahaczając o następne *tusowki* (bańki). Ukraińska debata społeczno-polityczna od lat „dzieje się” właśnie na Facebooku, dlatego pełni on w tamtejszej przestrzeni medialnej funkcję wyjątkową. Prawie wszyscy politycy, eksperci, dziennikarze i inne LOM-y mają aktywne profile, na których atakują przeciwników, spierają się z innymi i promują własne idee. To arena karczemnych awantur, ontologicznych dyskusji i prywatnych *mieżdusobojczyków* (wyjaśniania stosunków),

a przy tym równorzędnej komunikacji pomiędzy decydentami i narodem. Tu minister odpowie obywatelowi, a ekspert podzieli się opinią bez zaproszenia od dziennikarza.

Platforma ta stanowi niezbędne i bezcenne źródło wiedzy o nastrojach, postawach i przekonaniach szeroko pojętej klasy politycznej i społeczeństwa obywatelskiego – równie ważne co tradycyjne portale internetowe, zaś bijące pod tym względem na głowę Telegram i X (dawniej Twitter). Ten pierwszy skutecznie wypiera zarazem agencje informacyjne, a drugi nie jest aż tak popularny, oba zaś nie sprzyjają obfitym w znaki wielogłosowym rozmowom na tematy ważne i trywialne. Wśród umiejętności analityka winna się zatem znaleźć właściwa konfiguracja FB – odsiewająca sprawy nieistotne i promowane, a uwypuklająca te potrzebne.

Facebook wbił jednocześnie ostatni gwóźdź do trumny miejscowej prasy drukowanej. Ukraina to chyba jedyny kraj w Europie bez gazety codziennej. Telewizja zaś, jak w wielu miejscach świata, nadal funkcjonuje, ale jedynie jako kanał dotarcia do określonych grup wyborców – czy wręcz ich mobilizacji.

Polifonia mediów

Media internetowe stanowią o sile i pluralizmie ukraińskiej debaty. Choć zjawisko tzw. spleczek (*сливні бачки, зливні бачки*) – fejkowych portali czy kont pełniących de facto funkcję trolli, wykorzystywanych przez konkretnych polityków lub grupy interesu do kompromitowania konkurencji – istnieje, to segment podmiotów dochowujących standardów dziennikarskich jest pokazny. Wprawdzie źródła ich dochodów niekiedy pozostają niejawne i nie zawsze są nimi zachodnie granty, a dziennikarze nie ukrywają preferencji politycznych, lecz media jako całość tworzą przeciekawy i przebogaty konglomerat, którego zmapowanie pod kątem właścicielskim i sympatii to obowiązkowa praca domowa dla każdego eksperta.

Wysuniętą pięć ukraińskich mediów stanowi dziennikarstwo śledcze. Nawet za Janukowycza, mimo wszechobecnej korupcji i zawłaszczania państwa przez wąskie grupy interesów powiązane z Partią Regionów, szczegółowo opisywano koligacje rządzących i mechanizmy nieformalnych wpływów. Każdy, kto zajmował się Ukrainą choćby pobieżnie, mógł bez trudu znaleźć analizy rozkładające na czynniki pierwsze układ sił w Administracji Prezydenta lub Radzie Najwyższej albo przedstawiające powiązania i mechanizmy działania największych „riszajłów” (załatwiaczy) systemu, takich jak Serhij Kurczenko, będący de facto słupem czy portfelem obsługującym biznesy rodziny Janukowycza. Po rewolucji godności i zmianie władz na prozachodnie dziennikarze śledczy nie odpuścili, zmienili się wyłącznie nazwiska ich obiektów

zainteresowania – zamiast Kurczenki pojawił się Kononenko, dawny znajomy Poroszenki (uciekł z kraju po wygranej Zełenskigo w 2019 r.).

Nie tylko mediom, lecz także analitykom przyglądającym się Ukrainie pracę ułatwia cyfryzacja. Kraj ten należy do grona państw lubiących digitalizację i umiejących ją wdrażać. Efektem jest otwarty i prosty dostęp do licznych baz danych, co wybitnie rozszerza możliwości badawcze. Poszukiwanie informacji nie musi już opierać się wyłącznie na oficjalnych raportach czy komunikatach rządowych – można samodzielnie pozyskiwać i przetwarzać dane oraz formułować wnioski niezależnie od panującej narracji. W sferze gospodarczej publiczne rejestry pozwalają natomiast bezproblemowo sprawdzić właścicieli firm, ich koneksje i wyniki finansowe. Dzięki temu da się przeprowadzić ilościową i jakościową analizę stanu poszczególnych podmiotów, jak również całych sektorów czy sieci powiązań kapitałowych. Wykorzystywanie rozmaitych baz danych podnosi jakość ekspertyzy i pozwala weryfikować oficjalne przekazy.

Analityk na froncie...

Pełnoskalowa inwazja Rosji w 2022 r. przyniosła badaczom nowe wyzwania – tryb pracy stał się intensywniejszy, a analizowane pole informacyjne spłaszczyło się, co w pierwszych tygodniach wojny utrudniało precyzyjną ocenę sytuacji. W tych warunkach wzrosło znaczenie własnego doświadczenia, ugruntowanej znajomości ukraińskich realiów i społeczeństwa oraz osobistych kontaktów, gdyż na fali konsolidacji narodu dziennikarze i opozycja unikali otwartego piętnowania nadużyć władz i krytykowania ich posunięć. Działał odruch autocenzury – nawet jeśli dysponowali oni wiedzą o przekrętach (te bowiem nie zniknęły, choć mniej rzucały się w oczy), to nie upubliczniano ich, by nie dawać paliwa rosyjskiej propagandzie na Zachodzie.

Sytuacja wróciła do normy po niespełna roku, a przełomem okazała się afera dotycząca przetargu na „jajka po 17 hrywien” dla wojska, która doprowadziła do dymisji ministra obrony Ołeksija Reznikowa. W tym samym czasie w sieci pojawiła się istna masa rozmaitych treści w formie nagrań wideo. Dla analityków ten wysyp informacji zrodził wbrew pozorom spory kłopot – ilość materiałów jest tak ogromna, że fizycznie niemożliwe okazuje się obejrzenie tych zamieszczonych choćby przez wybranych publicystów, a dostępna w YT funkcja transkrypcji tylko częściowo rozwiązuje ten problem. Co więcej, często właśnie tam, a nie w oficjalnych źródłach da się znaleźć cenne wieści – jak ta od reportera Jurija Butusowa z końca 2024 r. zawierająca (najprawdopodobniej) prawdziwe straty ukraińskiej armii, sięgające 100 tys. zabitych i zaginionych żołnierzy.

Zwłaszcza w pierwszych miesiącach inwazji nie dało się też zachować dystansu emocjonalnego do jej ofiar i nie kibicować wysiłkom słabszego

w nierównej konfrontacji z agresorem. Chwilę zajęło również przekonanie się, jak kreatywni potrafią być Ukraińcy w narzucaniu świata przesłania o wojnie. Po ich stronie stało prawo międzynarodowe i argumenty moralne, które z pełną mocą zaprzęgnięto w maszynę dyplomatyczną i informacyjną o imponującej skuteczności. Państwowy przekaz, nierzadko wspierany przez społeczeństwo, był spójny i nastawiony na wspólny cel – zachęcenie Zachodu do pomocy napadniętemu krajowi.

...i jego zmagania z ukraińską kulturą polityczną

Bezwzględność w forsowaniu własnego zdania nigdy nie była obca ukraińskiej dyplomacji, co potwierdził każdy urzędnik i polityk, który miał styczność ze swoim odpowiednikiem stamtąd. W negocjacjach Kijów zajmuje zazwyczaj sztywne i maksymalistyczne stanowisko, co szalenie utrudnia osiągnięcie porozumienia. Taka kultura polityczna wynika z kilku czynników, z których najważniejszy to świadomość, że Ukraina jest największym po Rosji państwem w Europie, ma stosunkowo liczną populację, przemysł ciężki i żyzne gleby. Według Ukraińców fakty te niejako automatycznie powinny się przekładać na silną pozycję tego współprzewodzącego Europie regionalnego lidera.

Przekonanie o własnym znaczeniu pogłębiają: status drugiej najbogatszej byłej republiki ZSRS, bóle fantomowe po zrzeczeniu się arsenału jądrowego na mocy memorandum budapeszteńskiego oraz pretensja do Zachodu o przymuszenie do takiego kroku bez faktycznych gwarancji bezpieczeństwa. Zgodnie z takim oglądem sprawy – gładko pomijającym kwestie korupcji, biedy oraz niedorozwoju przemysłowego i infrastrukturalnego – równorzędnymi partnerami Kijowa są Berlin i Paryż, ale nie Warszawa.

Wojna jeszcze bardziej ośmieliła władze państwowe w relacjach z sojusznikami. Szczepan Twardoch, którego nie sposób posądzić o antyukraińskie uprzedzenia, nazwał stanowisko Kijowa „polityką zagraniczną w sowieckim, asertywnym stylu Andrieja Gromyki” (skomentował tymi słowami niesprawiedliwe sugestie Zełenskigo z trybuny ONZ we wrześniu 2023 r., jakoby Polska współpracowała z Rosją przeciwko Ukrainie). Nad Dnieprem znacząco wzmocniło się również poczucie własnej wyjątkowości oraz pojawił się silny wątek mesjanizmu – myślenia o sobie jak o narodzie zbawcy broniącym zachodniej cywilizacji przed barbarzyńską nawałą ze wschodu.

Sytuacja, w której Kijów – powodowany zagrożeniem egzystencjalnym i uwagą największych mediów – dzieli partnerów zgodnie z zasadą „kto nie z nami, ten przeciw nam”, aż prosi się o wpadki. Szczególnie bolesne okazały się one w napędzanych przez emocje relacjach z Warszawą, czego dowodzą polskie i światowe reakcje na powyższą wypowiedź prezydenta Zełenskigo

w ONZ. Zderzenie polskiego współczucia i ofiarności z ukraińską asertywnością i roszczeniowością skutkowało wybuchem. Po obu stronach granicy zagościło poczucie rozczarowania i niewdzięczności, które zmroziło stosunki bilateralne, a ogólne napięcie pogłębiały jeszcze wieloletnie blokowanie przez Kijów ekshumacji ofiar UPA oraz brak współczucia dla zabitych przez zabłąkaną ukraińską rakietę w Przewodowie. Taka postawa Ukraińców z biegiem czasu irytowała coraz bardziej, zresztą nie tylko Polaków – o czym dotkliwie przekonał się Zełenski, upokorzony przez Donalda Trumpa w Gabiniecie Ovalnym.

Zamiast zakończenia

Przesadnie dumne zachowanie Ukraińców może denerwować, a nawet nieść konsekwencje w postaci okresowego przegrywania wojny, lecz to dzięki takiemu podejściu wygrali oni podmiotowość w oczach świata i odrębność we własnych. Walecznością i heroizmem zyskali też globalny szacunek i potwierdzili, że zdecydowanie bliżej im do Europejczyków niż do Rosjan. Pełnoskalowa inwazja jeszcze przyspieszyła zmiany świadomościowe w kraju, które ruszyły z kopyta po pierwszej agresji osiem lat wcześniej, ale rozpoczęły się już w 1991 r. Samo posiadanie własnego państwa czyniło jego obywateli różnymi od ludności FR, a procesy oświatowe, polityczne i gospodarcze tylko owe odmienności powiększały. Ukraińcy mieli zresztą na czym się oprzeć – tradycje historyczne tych ziem i ludzi je zamieszkujących pozwoliły na wydzielenie z przeszłości tych wydarzeń, z których można było utkać wiarygodną wersję odrębności, a następnie umieścić ją w podręcznikach.

Po 2022 r. nastąpiło bezprecedensowe przemieszczanie populacji – migracja wewnętrzna nabrała rozmiarów nieporównywalnych do tej z 2014 r. Zgodnie z różnymi szacunkami miejsce pobytu w obrębie państwa zmieniło ok. 6 mln osób, przy czym znaczny odsetek mieszkańców rosyjskojęzycznego wschodu przeprowadził się na zachód. Zbliżenie między ludźmi z różnych regionów w obliczu wspólnego zagrożenia jeszcze efektywniej kruszy mur między nimi, a jednocześnie coraz wyżej wznosi go między Ukraińcami i Rosjanami, ostatecznie kompromitując ideę tzw. rosyjskiego świata (imperialistycznej koncepcji międzynarodowej wspólnoty złączonej językiem rosyjskim, wiarą prawosławną i poczuciem więzi z Rosją jako centrum). Zewnętrzna agresja wzmocniła wspólnotowość i stymuluje tworzenie się ukraińskiego narodu politycznego.

Jak wskazuje powyższy wywód, analizując Ukrainę, trudno się nudzić. Tamtejsza sytuacja polityczna i społeczna jest płynna. Społeczeństwo się zmienia i dojrzewa do brania spraw w swoje ręce w kraju, który – także w wyniku napaści – uważa za swój i z którego odczuwa dumę. Politycy chcą nadążać za tymi tendencjami, lecz na ogół już po kilku miesiącach od zwycięstwa w wyborach

zaczynają tracić kontakt z obywatelami. To napięcie między rządzącymi i społeczeństwem definiuje tempo i charakter nieustającej transformacji państwa – raz w kierunku reformatorskim, raz w reakcyjnym, najczęściej zaś równoległe w obu i zawsze dynamicznie.

Ten ruch i jego rezultaty są przedmiotem pasji ekspertów OSW – właśnie pasji, a nie wyłącznie pracy, bo obserwacja przemian o takiej intensywności wymaga połączenia obu tych elementów.